

MARCIN BRZOSTOWSKI

PODPALĘ WASZE SERCA!



RW2010

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Marcin Brzostowski

PODPALEŃ WASZE SERCA!

MARCIN BRZOSTOWSKI
PODPALĘ WASZE SERCA!

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2011
Korekta Joanna Śłużyńska
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Marcin Brzostowski 2011
Okładka Copyright © Marcin Brzostowski 2011
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011
Wydanie I

ISBN: 978-83-63111-04-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW 2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Wszelkie podobieństwo bohaterów tej książki
do jakichkolwiek osób jest przypadkowe
i nie zamierzone przez Autora

Byłem w Rio, byłem w Bajo.
Miałem bilet na Hawajo.
Byłem na wsi, byłem w mieście.
Byłem nawet w Budapeszcie.
Wszystko ch...
Może czasem trochę mniejszy,
ale potem jeszcze większy.

Jakub Sienkiewicz

Wszystkim nieobeznany w temacie...

Autor

Intro

Nazywam się Karol Szrama i, od kiedy pamiętam, miałem zawsze przejebane. Nie żeby tak od razu na maksa, ale nic nigdy nie układało się po mojej myśli. I w zasadzie mógłbym na tym zakończyć, gdyby nie to, że zamierzam podpalić wasze serca i rozpirzyć cały ten świat w drobny mak. Myślicie, moi drodzy, że to niemożliwe? Że nie stać mnie na taki gest? Udowodnię wszystkim, że mam jeszcze jaja! Ale wszystko po kolei...

Ojciec Chrzestny 4

4 października roku pamiętnego
(za oknem strasznie późni)

Na wstępie pragnę wyjaśnić, że jestem raczej skryty i z byle czym do mediów nigdy nie latałem, ale sytuacja, w której się znalazłem, zmusza mnie do zajęcia stanowiska i podzielenia się z gawiedzią tym, co mi w duszy gra. A jest co roztrząsać, gdyż uświadomiłem sobie, że skończyłem właśnie czterdzieści lat, nie prowadzam się po rautach z cypaty blondynkami, mam za to na stanie żonę, bachora oraz kredyt mieszkaniowy o wartości kosmicznej – jeśli nie spłacę go w terminie (jeszcze tylko dwadzieścia lat!), to mnie z miejsca zamkną w lochu, każą oglądać seriale i będą polewać wrzącą smołą na okrągło. Na dodatek praca wkurwia mnie ponad miarę, czuję się przytłoczony permanentną presją na wszystko i wobec każdego (tak zwany „wyścig szczurów”), a ponadto przeczuwam u siebie początek stumanienia ogólnego albo trywialno-pospolitej choroby psychicznej. Wszystko zaczyna mi się mieszać ze sobą, coś mi lata z tyłu głowy i nie tylko, a poza tym słyszę głosy, których w żadnej mierze nie powinienem słyszeć. I nie są to, moi drodzy, oświadczyzny królowej Maroka, tylko ordynarne podszepty do rzucenia tego wszystkiego w cholerę i przejścia (tak mi się wydaje) na ciemną stronę mocy. Ale o tym opowiem wam kiedy indziej, gdyż słyszę zza ściany, że wzywają mnie na bankiet urodzinowy. Jeśli chcecie, to zapraszam na melanz, tylko musimy udawać, że was tam nie ma. Bo gdyby się moja ślubna dowiedziała, że sprowadzam do domu gości bez jej zgody, to bym się miał z pyszna przez następny miesiąc. Dlatego zapraszam serdecznie, tylko nie dajcie po sobie poznać, że tam jesteście. OK?

Skoro już wszystko ustaliliśmy, to walę prosto na jubileusz i postaram się nie myśleć o tych wszystkich doznaniach. Spróbuję wyluzować się na maksa i chociaż przez moment zaczerpnąć z życia pełną garścią. Wkraczam więc do salonu, poprawiam filuternie fryzik i staję jak wryty! Bo zamiast urodzinowego tortu z niespodzianką (czyli cypatką o blond włosach), dostrzegam moją ukochaną rodzinę, zasiadającą za stołem pokrytym ceratą, na którym zalegają same okropieństwa! I jeśli mnie patrzalki nie mylą, to widzę wyraźnie golonkę, flaczki oraz monstrualnych rozmiarów karpia w galarecie, który przebiera ustami (on jest żywy!) i wyjeżdża nagle jak nakręcony:

– Powyższa impreza kosztowała furę kasiory, a Pani Domu urobiła się aż po same łokcie, żeby wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom, Karol. Dlatego padaj w te pędy na kolana i dziękuj swojej ślubnej za miłość, litość oraz gustowną uroczystość!

– Ale jak to? – wymyka mi się z ust. – Przecież nie mamy dzisiaj Wigilii, a poza tym ja wolę makaron.

– Na kolana, Karol! – karp nie daje za wygraną. – Nie bądź podły, chłopie. I nie zawracaj nam już dupy tą swoją włoszczyzną!

Po chwili dochodzę do siebie i żeby nie robić zbędnych szop, upadam na kolana i zaczynam iść (znaczy pełznąć) w stronę stołu. Gdy zamierzam odwdziżyć się słownie małżonce, do salonu wkracza jej brat i jedzie:

– Witam siostrunię! I mojego podopiecznego!

– Witaj, Ojciec Chrzestny! – moja osobista latorośl zaczyna łaścić się do Norberta Kwanta. – Witaj, Tato!

I tu się z lekka ożywiam, gdyż nie raz i nie dwa tłumaczyłem tłumokowi, że słowo „Tata” jest zarezerwowane wyłącznie dla mojej osoby. A tu ciągle nic i jakbym walił grochem o ścianę. Nie zamierzam się jednak poddawać, zbieram się w całość i w końcu peroruję:

– Synu mój drogi! To ja jestem twoim ojcem!

– Akurat – słyszę dziesięcioletniego Belzebuba (to znaczy Arkadiusza).

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę, ale to mnie nie zadowala.

– Jak to?

– Srakto! – gad wali mi prosto w twarz. – Ja wolę ojca Norberta! Norberta Kwanta, Kwanta, Kwanta!

Po tym wodospadzie podłości robi mi się przykro i mokro, i zamykam się w sobie na amen. Trawię w czeluściach własnych gorycz porażki, gdy tymczasem mój słodki Arkadiuszek odbiera od Ojca Chrzestnego furę prezentów i tuli się do niego tak, jak powinien się tulić do mnie. Moja żona nakłada całej trójce po porcji flaczków i robi się im zupełnie przyjemnie. Po półgodzinie wstaję w końcu z kolan, idę do przedpokoju i znajduję na wieszaku smycz oraz stary kaganiec. Wracam do salonu, po czym zdejmuję ze stołu wrednego karpia i ubieram go w znalezione gadzety. Ryba przygląda mi się uważnie i nagle nadaje:

– Chyba cię, Karol, pogięło? Przecież ja nie jestem psem!

– Od dzisiaj jesteś! – wywalam na pletwonoga całą swoją złość. – I powiem więcej! Jeśli będę chciał, to będziesz nawet wiewiórką! OK?

Zastraszony karp tuli pod siebie ogon (to jest – pletwy) i natychmiast odnajduje właściwy kurs. Po upływie trzech sekund zaczyna się do mnie łaścić i zagaja:

– A długi będzie ten spacer? Bo dzisiaj strasznie późni...

– Nie wiem! – odszczekuję na odczepnego. – Muszę się trochę wyluzować! Bo właśnie stuknęła mi czterdziecia, a nikt nie złożył mi nawet zasranych życzeń!

Dawka większa niż życie

11 października roku pamiętnego
(USA – Polska 2:2)

Zaczął się kolejny dzień mojego życia. I abarot od nowa... Pryszyć, golenie, śniadanko, krótka utarczka słowna z małżonką na mało zajmujący temat, ujadanie psa (to jest – karpia) oraz wysłuchiwanie od pierworodnego, jaki funny i jazzy jest Norbert Kwant. I pewnie nie dziwi was, moi drodzy, czemu z tak dużą dozą werwy ubieram się do wyjścia, łapię za wszarz teczuszkę i walę prosto do tyрки. Prawda? A zresztą, nie musicie mi przecież odpowiadać.

Ciągnąc dalej wątek, muszę wyjaśnić, że w tyrce też nie jest najlepiej, ale przynajmniej coś się dzieje. Z tym „dzianiem się” to też jest niemalże przegięcie, gdyż jakiś ekspert (czyli menda pierwszej i ostatniej wody) od prawa pracy wymyślił, że w umowie o pracę, gdzie stoi o „ośmiogodzinnym dniu pracy”, należy wpisać słowo „efektywny”. I zrobił się z tego „efektywny ośmiogodzinny dzień pracy”. Na początku nikt niczego nie pokumał, jednak któregoś dnia szefostwo zawiozło ten pomysł do Sejmu, gdzie miejscowe towarzystwo jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniło wredny zapisik w prawo; i to ogólnie obowiązujące. No i dopiero się wtedy zaczęło! Bo musicie wiedzieć, moi drodzy, że z miejsca każdemu niewolnikowi (to jest pracownikowi) zainstalowano przy biurku elektroniczny zegar kontrolny (H.U.J. 205/300), który zaczął odmierzać efektywny czas działania na rzecz swego Pana jedynego (to jest pracodawcy). Dlatego, jeśli ktoś:

- używa komputera w celach pracowniczych (żadnych gierek, czatów albo gołych bab),
- wykonuje telefon do klienta,
- pisze donos na swojego najlepszego kolegę lub koleżankę,
- rezygnuje dobrowolnie z urlopu,
- odmawia przyjęcia kasiory za wyrobione nadgodziny,

to wszystko jest git i w ogóle ekstra! Natomiast, gdy delikwent lub delikwentka (wiem, co to jest równouprawnienie!):

- wypisuje mejle do znajomych,
- słucha piosenek albo dowcipów,
- spożywa posiłek,
- przełyka ślinę,
- zaczyna używać mózgu w celach absolutnie nie pracowniczych,

to wówczas elektroniczny zegar kontrolny (H.U.J. 205/300) staje w miejscu (!) i zaczyna kombinować na maksa.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).